

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ZWROTKI WIELKANOCNE.

Ku pamięci Aleksandry Borkowskiej.

Otóż Wielkanoc — radosny dzionek,
Nowem dziś życiem ziemia oddycha,
Słonko się strząsa z mglistych osłonek,
Stróże Anieli gwarzą nam z cicha

O tym Baranku promiennym chwala,
Co świat krwawemi odkupił rany,
A Jego Słowo Ciałem się stało
Na pokarm duszy bolem starganej.

Gdy do radości każdy dziś skory
W przyszłość pogląda swobodnem okiem,
Czemuż *Rodzinne* tylko *Wieczory*,
Owiane bladym smutku pomrokiem?

Ach! ta, co z wiarą w duszy niezgasła,
Jak dobra matka wśród dziatwy miłej,
Na Wielkanocne dzwoniła hasło,
Milczy cichutko w głębi mogiły.

Splećmyż jej wieniec z tego bukszpanu,
Jakim dziś zdobne godowe stoły,
Ona szczęśliwa!... dla niej przy Panu
Błysz Zmartwychwstania dzionek wesoly!

Ta, co z wytkniętych nie zesła torów,
Lat tyle, dziatwo, żyła dla ciebie,
Wszak dla *Rodzinnych* swoich *Wieczorów*
Błogosławieństwo wyjedna w niebie!

Seweryna Duchńska.



W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Fauna głębinowa.

Pierwotniaki, gąbczaki, polipy.

Poznaliśmy już dokładnie zwierzęta żyjące w płytkiej wodzie morskiej, tuż koło wybrzeży, oraz zwierzęta pływające po powierzchni oceanu, daleko od wybrzeży. Następuje teraz kolej zapoznania się z mieszkańcami ukrytymi wśród morza, aż w najgłębszych przepaściach oceanicznych.

Głębinowe warstwy wodne posiadają zupełnie odmienne zwierzęta od tych, które pod tą samą szerokością geograficzną żyją na powierzchni morza. Różnica ta szczególnie uderzającą jest w zwrotnikowych morzach Afryki. Prawdopodobnym jest, iż nie istnieje w nich żaden pas pośredni między połączoną fauną powierzchni, sięgającą w głąb do 200 a nawet 300 metrów, a fauną prawdziwych otchłani, rozpoczynających się dopiero na głębokości 2000 metrów. Między owymi dwiema faunami nie istnieje żadne podobieństwo, tak iż gdybyśmy znaleźli je w stanie kopalnym, mówi Lapparent, moglibyśmy przypuścić, że one pochodzą z dwóch odmiennych epok geologicznych, albo też, że żyły w dwóch morzach, między którymi nie było żadnej komunikacji.

Zwierzęta głębinowe skazane są na żywienie się pokarmem zwierzęcym, gdyż jak wiemy już z poprzednich kartek, w głębinach morskich roślinność nie istnieje z braku w nich światła. Nie możemy wprawdzie wyobrazić sobie takiego zakątka na naszej ziemi, gdzieby obok zwierząt, nie było zarazem roślin, a jednak wielka część powierzchni naszej planety nie posiada ani śladu żyjących roślin. Przekonano się bowiem, że w otchłaniach morskich nie mogą żyć nawet najmniejsze rośliny. Glony morskie tak obfite w płytkiej wodzie, znikają zupełnie prawie na głębokości 80 metrów. Natomiast krasnorosty przesiąknięte wapnem (*Nullipora*) obfitują jeszcze na tym poziomie, lecz i one stopniowo stają się coraz rzadsze i sięgają najgłębiej 275 metrów (w morzu Śródziemnym, według Carpentera).

Istnieje wprawdzie wyjątkowo pewna roślina napotykana znacznie głębiej, gdyż aż do tysiąca metrów. Ale jest to roślina bezzieleniowa, a zatem nie potrzebująca światła, jest to rodzaj grzybka, który pasorzytuje w wapiennej masie koralu i wywierca w niej rozgałęzione delikatne korytarze. Podobnie jak grzyby rosnące w naszych piwnicach, może on istnieć bez światła, gdyż żywi się nie kwasem węglowym, ale tkankami koralu. Godnem jest uwagi, iż roślina ta jest wielce starożytną, istniała bowiem już na koralach w prastarym okresie syluryjskim.

Pomimo braku roślin na dnie morskim, w mule żyje mnóstwo najprostszych istotek zwierzęcych. Skąd one się wzięły w tak wielkiej ilości w tych zimnych i ciemnych otchłaniach?

Kilkanaście lat temu myślano, iż odkryto nareszcie tajemnicę powstawania najprostszych zwierząt morskich. Po podróży naukowej *Porcupinu* rozeszła się nagle pogłoska, że dno oceanu Atlantyckiego wyściela żyjąca substancja, która niema żadnych określonych kształtów, lecz się porusza, a zawiera w sobie mnóstwo drobnouchnych ziarenek (*Coccolithes*), które opisywano jako jej szkielet.

Przypuszczano, że ów żyjący *pierwośluz* ustawicznie wytwarza się na dnie oceanu z mineralnej materii, i że żywić się nią może podobnie jak rośliny, że jest zatem czemś pośrednim między minerałami a zwierzętami. Z tej żyjącej bezkształtnej galarety miały pochodzić następnie najprostsze

żyjątka czyli pierwotniaki. Zdawało się więc, że schwytano na gorącym uczynku powstawanie zarodków życia.

Znakomity angielski przyrodnik Huxley, który opisał tę galaretę, nazwał ją na cześć głośnego przyrodnika niemieckiego, *Bathybius Haeckeli* (fig. 121).

Niestety, radość niedługo trwała. Po bliższym zbadaniu okazało się bowiem, że substancja, którą ochrzczono tą wielką nazwą, nie była wcale żyjącą istotą, lecz były to po prostu galaretowate płatki wapienne, osadzające się w wodzie morskiej, gdy dodać do niej wodnego spirytusu. Następnie okręt Challenger podczas swojej kilkoletniej wyprawy szukał *Bathybiusa* na dnie wszystkich mórz, lecz nigdzie go znaleźć nie mógł.

Powyższa historia z *Bathybiusem* świadczy, że wielcy nawet uczeni, mogą popełniać błędy naukowe, co nas zresztą dziwić nie powinno. Podobnie jak wszyscy ludzie uczeni skłonni są do entuzjazmu; w pierwszej chwili przebie mylnie mogą tłumaczyć jakieś odkrycie lub spostrzeżenie. Lecz następnie nadchodzi chłodna rozważa i uważne badanie, a gdy błąd swój spostrzeją, to naprawiają go albo sami albo ich następcy, a do skarbnicy wiedzy ludzkiej jednak przybywa nowe ziarno.

Błędy popełniane w nauce nie ujmują jej bynajmniej powagi; są one początkowo nieuniknione. Jedyne prostaczki myśleć mogą, że uczeni od pierwszego rzutu oka zaraz wszystko dojrzą, zrozumieją i dokładnie wyjaśnią. Gdyby tak być miało, to zdobywanie wiedzy byłoby łatwiejszem od każdego rzemiosła. Ale gmach wiedzy buduje się mozolnie, powoli, widzieliśmy jak stopniowo zbierano wiadomości o „życiu w oceanie”, ile na wstępie popełniono błędów, aż w końcu wyłoniła się prawda, jak słońce z za chmur, i mrok niewiadomości rozproszyła. Tak powstają wszelkie zdobycze naukowe.

Chociaż *bathybius* w rzeczywistości nie istnieje, nie ulega atoli wątpliwości, że w mule głębin morskich kryje się niezliczona moc istot tak drobnych, jak ziarenka piasku. Ciało ich to kropelka galarety, która się porusza i pełza po dnie. Kropelki te są często nagie, bez żadnej osłony, inne zaś oblepiają się mułem lub piaskiem i tak wytwarzają sobie sztuczną skorupkę. Maluczkie te istotki stanowią niejako przygotowanie do owych *otwornic*, których wytworne skorupki wapienne poznaliśmy na początku naszego opisu.

Skorupki otwornic i radyolarij, igiełki gąbek, muszle mięczaków oraz mnóstwo innych szczątek mineralnych, stanowią główną zawartość owego szarego i lepkiego mułu, który wyściela głębie 1500 metrowe. Skorupki w nim znajdowane nie wszystkie należą do zwierząt głębinowych, wiele z nich spadło z powierzchni morza w postaci drobnouchnego pyłku; wiemy, że otwornice są nadzwyczaj obfite na powierzchni oceanu. Naprzykład *globigeriny* (fig. 122) są tak liczne w niektórych rodzajach osadów morskich, iż nazwano je z tego powodu *namulem globigerynowym*. Większość tych zwierząt żyje atoli nie w głębinach, lecz na powierzchni morza. W głębinach morskich odkryto również nadspodziewanie mnóstwo gatunków radyolarij, o misternym szkielecie, złożonym z igiełek kryształowych.

Gąbczaki i polipy. W tymże miękim, szarym mule kryją się wspaniałe gąbczaki krzemionkowe. Z pomiędzy kilku rodzin gąbczaków, które poprzednio poznaliśmy, jedynie gąbczaki o szkielecie krzemionkowym są prawdziwymi mieszkańcami otchłani morskich, zwłaszcza rodzina *gąbek szklanych*, mająca igiełki o sześciu promieniach. Szkielet tych gąbek jest tak wytwornie splecionym z cienouchnych włókien przezroczyście, iż powstaje stąd delikatna tkanina tiulowa jak to widać na (fig. 123 i 124). Dla tego też oczyszczony ich szkielet stanowi zawsze jedną z ozdób w kolekcjach muzeów.

Na fig. 125 np. widzimy gąbczaka zwanego *Pheronema*; szkielet jego wygląda jak wytworne gniazdko ptasie, utkane nie z bawełny lecz z miękich jak puch włókien i gwiazdek szklanych. Gąbki te trzymają się mułu za pomocą tysięcy srebrzystych nici, rozpostartych jak korzenie.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Oj, ty udajesz poważnego i spokojnego — rzekła pani Warbicka do psa — a niechbyś tylko gdzie dostrzegł kota...

Na dźwięk tego ostatniego wyrazu, Bosa odrazu podniósł uszy i ogon, obejrzał się po pokoju i skoczył do drzwi, do których drapać się począł.

— Leżeć! — zawołała. — Tobie Józiku tylko pisanie w głowie, a jemu tylko koty.

Po każdej lekcji pani Warbicka całowała Józika w czoło. Jednego dnia, po trudnej lekcji, bo już Józik czytał: „chrząszcz,” „chrzan,” powiedziała mu:

— Będzie z ciebie człowiek, Józiku, bo lubisz pracę i lubisz przewyżczać trudności. Z próżniactwa nigdy nic dobrego nie wyrasta, ale z pracy wyrasta i dobroć i uczciwość i porządne życie.

Staruszka nie chciała pieścić Józika, żeby się chłopiec nie rozbałamucił; czasem do niego mówiła nawet surowo, jak ksiądz na spowiedzi, ale go codzień więcej kochała i przy pacierzu tak Panu Bogu dziękowała:

— Dziękuję Ci Panie Boże, że dając mi to dziecko w opiekę, zesłał jakby promień słońca, ogrzewający i oświecający moją smutną i samotną starość.

Po sześciu miesiącach nauki Józik umiał już bardzo dobrze czytać, pisał prawie bez omyłek i umiał już dodawanie, odejmowanie i mnożenie. Zaczynał się uczyć dzielenia. Czytał już sobie sam różne książeczki, siedząc na stołeczku, a jak czego nie rozumiał, to zaraz pytał swojej opiekunki, a ona mu tłumaczyła. Lubił szczególnie takie książki, z których się dowiadywał co się dawniej działo w naszym kraju.

Walek przychodził czasem, patrzył po kątach z podłuba jak wilk i raz złapał napastrzek srebrny pani Warbickiej tak, że ani ona ani Józik tego nie widzieli. Widział tylko Bosa i chciał powiedzieć, jak umiał; szczekał na Walka, lecz nikt nie zrozumiał, o co mu chodziło. Staruszka nazajutrz napastrka szukała, ale pomyślała sobie, że go może z kieszeni na ulicy zgubiła, idąc do kościoła. Przypomniała sobie nawet, że w kościele wyciągała chustkę, żeby przetrzeć okulary.

— Nigdy napastrka do kieszeni nie kładę — mówiła do Józika — ale może tym razem go włożyłam. Okropnie teraz na starość wszystkiego zapominam.

Walek powoli stawał się coraz gorszym. Raz spotkał Józika i zapytał:

— A ty sobie wódkę kupujesz czasem?

— Wódkę? — zawołał Józik — wódkę?

Zbladł i żył mu w oczach stanęły, bo sobie przypomniał biednego ojca, który zginął od wódki.

— Cóżes się tak zadziwił? — zapytał Walek. — Ja czasem to i dwa kieliszki jeden po drugim wypiję! To tak człowiekowi zaraz weselej się robi!

— Skądże ty masz pieniądze, że i papierosy i wódkę sobie kupujesz?

— A tak się tam człowiek stara jak może! Czasem się trochę użebrze, czasem się co komu weźmie! Aby raz spróbować, to potem idzie jak z płatką! A co, czyś tam przeskakał wszystko u baby?

— U jakiej baby?

— A no, u twojej Warbickiej. Ona przecie choć do kościoła chodzi? W niedzielę pewno chodzi.

— Chodzi. I ja z nią idę.

— O, to źle!

— Co źle? Dla czego źle?

— A tak nie bywa, że ona wychodzi, a ty zostajesz?

— I tak czasem bywa.

— A kiedy tak bywa? O której porze? którego dnia?

— Czy ja tam pamiętam?

— Czy rano, czy po obiedzie?

— Czasem rano, czasem po obiedzie.

— No, to już ja sam ją dopilnuję.

Te słowa Walek mruknął przez zęby tak, że Józik nie zrozumiał odrazu. Dopiero po chwili jakoś mu do ucha wpadły. Walek już był daleko. Biegł za jakąś bogato ubraną panią i żalosnym głosem coś do niej wołał.

Józik się zamyślił. Co ten Walek sobie myślał? Co on chciał zrobić?

— Ej, trzeba się tego chłopca strzedz — rzekł sobie w duchu.

Ale potem zapomniał o wszystkim i taki był spokojny, jak zwykle bywają ci, co w poczciwości żyją.

Raz pani Warbicka wyszła z Bosym, bo chciała sobie na zimę kupić wełniane pończochy, a Józik się na tem nie znał. Zostawiła chłopca nad tabliczką, napisawszy mu bardzo trudne zadanie rachunkowe do zrobienia. Musiał w tem zadaniu mnożyć i dzielić. Usiadł przy stole i zamyślił się głęboko nad sposobem rozwiązania tego zadania. Drzwi od środka zamknął jak zwykle, tembardziej, że staruszka wychodząc przypomniała mu, by to uczynił. Ale zaledwo pomyślawszy chwilę, pierwszą liczbę na tablicy napisał, aż tu ktoś ruszył klamką u drzwi, a przekonawszy się, że zamknięte, pukać w nie począł:

— Kto tam?

— To ja — odpowiedział głos Walka — czegoż się tak zamykasz? Otworzże coprędzej.

Józik zapomniał na razie, że już sobie nieraz obiecywał wystrzegać się Walka. Skoczył do drzwi i otworzył.

— Pani Warbicka poszła do miasta — ozwał się do Walka — ja sam w domu jestem.

— A toć wiem, bom nareszcie dopilnował, że ona wyszła.

Józika nieprzyjemnie tknęło to odewanie się Walka, ale tego nie pokazał po sobie i zaczął mówić o zadaniu, które miał rozwiązać.

— Takie, powiadam ci, pani trudne zadanie mi napisała, ale póty będę myślał, aż go rozwiążę. Dzielenie, to powiadam ci, najtrudniejsze!

— Co mi tam będziesz głowę zawracał nauką! — zawołał Walek — sam sobie siedź nad tablicą, a ja się tu trochę po kątach i gratach rozejrzę.

— Co? — rzekł Józik, marszcząc brwi — co ty mówisz?

— Że ja tu wszystko przerewidować muszę, bo chcę się przekonać, czy stara ma pieniądze czy nie.

Walek mówił ostro, pod bok się wzięwszy, i nie oczu przed Józikiem nie spuszczał.

— Ani tu czego dotkniesz! — zawołał Józik.

— Zobaczymy kto silniejszy!

Walek wyjął nagle nóż z zanadza i groził nim Józikowi.

— Zabić mnie możesz — zawołał Józik — ale póki ja żyję, niczego tu nie tkniesz!

— Ja ci tu pokażę — mówił Walek, dysząc ze złości i zgrzytając zębami. — Widzisz go! Ja mu chcę dobrze zrobić, a on mię tu jak złodzieja przyjmuję! Co znajdziemy pieniędzy, to się niemi podzielimy! Stara nawet nie będzie wiedziała. Kupisz sobie co zechcesz i nie będziesz niczyjej łaski potrzebował!

— Nic nie ruszę i ty nic nie ruszysz! — zawołał Józik, wrywając nagle nóż z rąk Walka i rzucając go przez otwarte lufcik.

W tej chwili złość Walka przeszła we wściekłość. Rzucił się nagle na Józika, i począł go kopać i bić pięściami. Józik bronił się jak mógł, krzyczał, ale Walek był silniejszy, obalił go więc na ziemię, mówiąc chrapliwym głosem:

(d. c. n.)

URNA I ŁZAWNICA

KOMEDYJKA W 1-ym AKCIE.

OSOBY:

- WAŃDZIA lat 13.
- HELENKA „ 15.
- KAROL „ 16.
- MICHAŁEK, chłopiec kredensowy.

(Scena przedstawia pokój jadalny. Na stole stoją przybory do kawy).

SCENA I.

(Helenka siedzi przy krosnach, Wańdzia chodzi żywo po pokoju).

WAŃDZIA. I cóż, skończyłaś?

HELENKA. Doszywam ostatnich ściągów.

WAŃDZIA (przygląda się robocie). Będzie prześliczny! Karol nie marzył nawet o takim czapraku.

HELENKA. Czy naprawdę taki ładny?

WAŃDZIA. Mówię ci, że śliczny, ale dziwię się, że możesz usiedzieć przy robocie, kiedy on lada chwila przyjechać powinien.

HELENKA. To też drzę z pospiechu; patrz, już tylko 10 ściągów do skończenia monogramu... Spójrz przez okno, czy nie widać bryczki?

WAŃDZIA (stając w oknie). Mało oczów nie wypatrzę, lecz nic nie widzę... ale nie! widzę kurzawę koło krzyża na skrajcie...

HELENKA. To pewnie owce, tyle razy nas zwiody.

WAŃDZIA (otwiera okno). Wcale nie owce, słyszę turkot.

HELENKA. Pewnie jadą na jarmark.

WAŃDZIA. Nieznośna jesteś! właśnie, że widzę bryczkę.

HELENKA. Jeden, dwa, trzy krzyżyki. Boże, czy zdążę? (słychać turkot za sceną).

WAŃDZIA. Nie czekam na ciebie, do widzenia. (biegnie do drzwi, zaczepia o krosna, rozstawione na dwóch krzesłach i zrzuca je na ziemię, ale nie zważa na to i wybiega).



Fig. 121. Bathybius haeckeli.



Fig. 125. Pherone na Carpentere (połowa wiel. natur).



Fig. 122. Globigeriny, (pierwotniaki).

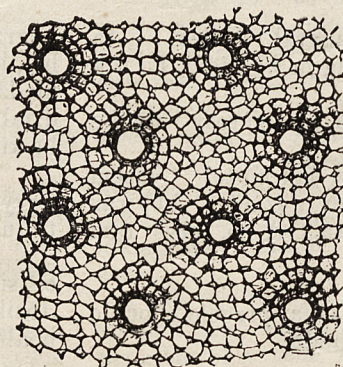


Fig. 123. Tkanka szkieletowa gąbki szklistej.

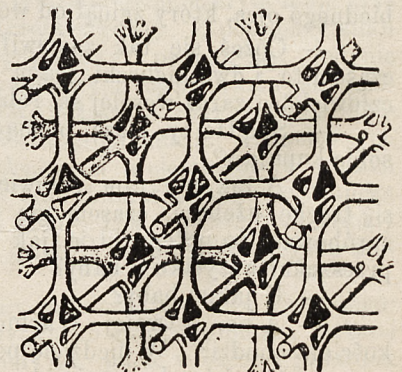


Fig. 124. Szkielet krzemionkowy gąbki szklistej.

HELENKA (*podnosząc krosna i włóczki z ziemi*). Zawsze taka żywa i roztrzępana, właśnie kończyłam ostatni ścieg. (*We drzwiach staje Karol w czapce i płaszczu gimnazjum filologicznego, Wańdzia trzyma brata za rękę*).

SCENA II.

KAROL, HELENKA, WAŃDZIA.

KAROL. Cóż to Helenko, nie witasz mnie nawet i szukasz czegoś na ziemi w chwili gdy ja przyjeżdżam. Jaka to z ciebie rozsądna i poważna osoba!

to wyborne naśladowanie bransolety, którą kiedyś nosiła żona Menelausa, Helena.

WAŃDZIA. Czy to ta sama Helena, która była powodem wojny trojańskiej?

KAROL. Ho! ho! To moje siostry wiedzą coś o wojnie Trojańskiej? (*popijając kawę*), bo już muszę was z góry przeprosić za to, co powiem, ale nie ufam zupełnie wykształceniu kobiet.

WAŃDZIA. O, za pozwoleniem...

KAROL. Nie przerywaj, bo to także jeden z waszych sposobów prowadzenia dyskusji! Więc zgódź się na to, że



Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej.

HELENKA (*ściskając Karola*). Która wcale nie poważnie cieszyła się na twoje przybycie, tylko te krosna...

WAŃDZIA (*przerywając*). W tych krosnach siedzi wszyscy czaprak, patrz czy nie śliczny monogram — K. J.

KAROL. Prawda, że śliczny! nie spodziewałem się takiego podarku i dziękuję wam z całego serca, zwłaszcza tobie, Wańdziu, boś zdążyła mimo roboty wybiedz na moje spotkanie.

HELENKA. Zdążyła nawet zgubić szpilkę z głowy i nie słyszeć, że do niej mówisz. Ale ty pewnie głodny jesteś, bracie, chodź do śniadania, które na ciebie czeka. (*siadają wszyscy przy stole, Wańdzia nalewa kawę, podaje bratu filiżankę, ten chwytając ją za rękę i mówi*). Skąd masz tę bransoletkę?

WAŃDZIA. Dostałam od cioci Władzi.

KAROL. A czy ty wiesz, że to rzecz wcale ładna. Jest

kobieta, to jest, chciałem powiedzieć kobiety, które (*chrząka*), kobiety jakie, (*znów chrząka, a potem dodaje niecierpliwie*), no, że takie kozy jak wy, to poprostu nic nie umieją.

WAŃDZIA. Kozy! proszę, przecież uczyły się...

KAROL. Tak, ale uczycie się samych niedorzeczności. Nie dziwię się nawet wcale, że wiecie coś o Helenie, bo przypominam sobie, co mówił pan Skulski w kwestyi edukacji panien.

WAŃDZIA. Stary dziwak, skąd on może o tem wiedzieć...

KAROL (*przerywając*). Widzisz, jaki ty prawdziwie kobiecy, lekkomyślny sąd wydajesz. Dziwak, dla tego, że uczony, że życie spędził nad książkami.

WAŃDZIA. Więc cóż ten twój pan Skulski mówił o kobietach?

KAROL. Mówił, że historii uczą się po francusku.

z podręcznika pana Lamé-Fleury, który tylko różne bajki opisuje. O! ma słuszość pan Skulski, taka nauka to w sam raz dla kobiecych mózgów.

HELENKA. Pozwól sobie powiedzieć, że nie widzę, dla czego mój mózg miałby być gorszym od twojego.

KAROL. Dla czego? wyborna jesteś. A badałaś kiedy zwoje mózgowe? a wiesz ty co to są wymiary antropologiczne? ważyłaś zawartość czaszki u mężczyzny i kobiety?

HELENKA. Pewnie, że nie, ale pij teraz lepiej kawę, bo wystygnie, zamiast mówić o takich obrzydliwościach.

KAROL. O-brzy-dli-wo-ściach! powiadasz, to wy tak cenicie badania przyrodnicze? (*wznosi ręce do góry z oburzenia*). Słusznie mówi pan Skulski, że kobiecie wystarczają zupełnie gałganki, że szkoda czasu na zajmowanie jej poważną nauką.

HELENKA. Za porywczó nas sądzisz Karolu, jak to źle, że nie widzieliśmy się już prawie dwa lata.

KAROL. Tak! przez ten czas tyle zmian zaszło, (*zakłada nogę na nogę, opiera głowę o poręcz kanapy i patrzy w sufit, a potem mówi uroczystym tonem*). Tyle zmian, zwłaszcza u mnie, bo u was jakież zmiany zająć mogły? Wprzód stroiłyście lalki, a teraz was zapewne niedługo jak lalki stroić zaczną! (*Deiuczynki z początku jedną za drugą spoglądają zasmucione i zdziwione, a w miarę monologu Karola zaczynają się uśmiechać*). Ja to wcale co innego, ja już jestem człowiekiem dojrzałym, dzięki panu Skulskiemu, umiłowałem naukę, wiem, że trzeba temu Molochowi poświęcić całego siebie.

WAŃDZIA (*z ironicznym uśmiechem*). I jakże się myślisz poświęcić? kiedy?

KAROL. Kiedy? dziś, zawsze, całą duszą! (*z miną zarozumiałą*). Ot, zaczynając od tego czapraka. Wdzięczny wam jestem moje siostry za pamięć, ale czyż to jest praca? Wiedzieć, że praca, to jest ekonomicznie biorąc, taka rzecz, która, to jest chciałem powiedzieć nie rzecz, tylko taka siła, taki wysiłek (*jaką się coraz bardziej*), no, krótko mówiąc, że szkoda czasu na haftowanie.

WAŃDZIA. Dziękujemy za szczerość! (*do Helenki, która tymczasem wypruła czaprak z krosien*), rzuć tę robotę, przecież słyszałaś, że Karol gardzi czaprakiem.

KAROL. O, nie gardzę! owszem, z wdzięcznością przyjmuję, tylko odrazu na tym przykładzie chciałem wykazać różnicę, między pracą mężczyzny a kobiety.

WAŃDZIA (*zawsze z ironią*). Jakaż będzie twoja w czasie wakacji?

KAROL (*z powagą*). Czeka mnie trudów wiele, obiecałem panu Skulskiemu robić poszukiwania archeologiczne i rozpocznę je zaraz.

HELENKA. Jakto dziś? zamiast nacieszyć się swobodą, ogrodem, wierzchowcem, którego ci tatko ujeździć kazał, zresztą nami?

WAŃDZIA. Czyż on dba o nas!

KAROL. Owszem, przecież jesteście moje siostry, i licie zawsze na opiekę męskiej ręki brata, ale nauka przede wszystkim (*do Helenki*). W czasie nieobecności rodziców ty zapewne zarządzasz domem, więc proszę cię, każ mi dać dwa rydle, kosz, i chłopaka do pomocy.

WAŃDZIA. Cóż to za wyprawa i jaki jej cel?

KAROL. Wyprawa! Wy w tym wyrazie widzicie zaraz tysiące błyszczących gałganków, a ja, wymawiając go, myślę o Kolumbie, Franklinie, Nansenie, lub Stanleju.

WAŃDZIA. Dokąd więc dążyć zamierzasz? czy mamy ci szyć serdak, i futrzane rękawice, czy też przygotować białe płócienne ubranie, jeśli się wybierzesz w okolice równika.

KAROL. Z czasem pojedę i tam, teraz jednak muszę poprzestać na wycieczce archeologicznej w celu badań paleontologicznych (*patrzy z tryumfem na siostry, które znów patrzą zdziwione*). Naturalnie, nie rozumiecie znaczenia tych słów?

HELENKA. Może jednak odłożyłbyś zamiary swoje do powrotu rodziców, a dzisiejszy dzień daruj nam, braciszku, pójdziemy razem obejrzyć gospodarstwo.

WAŃDZIA. Ależ po co! (*uchylając drzwi woła*). Michałku! Michałku! (*wchodzi chłopak z kredensu z deseczką na której czyścił noże, mina nierozgarnięta, ścierka u pasa, usta otwarte, śmieje się często i wtedy zakrywa usta wieścią*).

SCENA III.

Ciż i MICHAŁEK.

WAŃDZIA. Weź, Michałku, kosz od węgli i dwie łopaty, pójdziesz z panem Karolem na wyprawę archeologiczną, po zdobycze paleontologiczne.

MICHAŁEK (*wytrzeszcza oczy*). Jakie, proszę panienki? WAŃDZIA. Pójściecie na wyprawę archeologiczną po zdobycze paleontologiczne.

MICHAŁEK. Niby panienka mówi, co jak zdybię pałę, to ta komuś wyprawę archolę. Juści, jak wyprawić to wyprawić, mnie ta nie trza dwa razy mówić, jeno poco mi łopata, ja ta każdego i tem zmożę, (*pokazuje na swą deseczkę od noży, panienki się śmieją*).

KAROL (*wznosi ręce do góry, i chodzi wzburzony po pokoju*). O Boże! cóż to za ciemnota, jak wnieść światło w te mózgownice.

MICHAŁEK. Panicz każe wnieść światło i maźnice, to chyba Jędrka zawołać, bo...

HELENKA. Nie rozprawiaj, Michałku, tylko rób, co ci panicz każe, rydle są u ogrodnika, idź po nie i czekaj na ganku.

KAROL (*z powagą*). Dziękuję ci, Helenko, widzę, że nareszcie pojmujesz ważność tej nauki, którą co prawda niedawno poznałem, lecz zgłębiłem już należycie! (*wychodzi z Michałkiem*).

SCENA IV.

HELENKA I WAŃDZIA.

WAŃDZIA. Jaki ten Karol zabawny, nie widział się z nami dwa lata, a na wstępie zaraz nikt i nic go nie interesuje, tylko o archeologii rozprawia.

HELENKA. Bo odwykł od naszego towarzystwa, a wpływ pana Skulskiego i szlachetny zapal, obudziły w nim chęć do nauki, której dobrze nie zna jeszcze.

WAŃDZIA. Uważam, że Józia ma rację, utrzymując, że chłopcy są mniej mądrzy od dziewcząt.

HELENKA. A ja uważam, że Karol zaraził już ciebie, Wańdziu, swą zarozumiałością.

WAŃDZIA. Ach! jaki on się zrobił zarozumiały. Nazywał nas kozami. Ale ja go muszę ukarać i nie odezwę się wcale do niego.

HELENKA. Wańdziu, czy byłabyś tak dziecinna, żeby się za to na brata gniewać? Pamiętasz, jak w Zakopanem tęskniłaś za nim, i pragnęłaś wrócić do domu, aby go zobaczyć?

WAŃDZIA (*ze łzami w głosie*). Tak, ale do braciszka, a nie do jakiegoś paleontologa.

HELENKA. Czyżbyś wołała, żeby Karol był nieukiem i próżniakiem, żeby przyczyniał rodzicom zmartwienia?

WAŃDZIA. Właśnie o rodziców mi chodzi; cóż powiedzą, gdy posłuchają jego andronów?

HELENKA. Nie bój się, znajdą sposób oduczenia go zarozumiałości i śmiesznego rezonowania. Ale cicho, słyszę jego kroki.

SCENA V.

(*Wchodzi Karol, trzymając w ręku kość żebrową, za nim Michałek z łopatą staje we drzwiach i pokazuje na migi, że ma coś do powiedzenia*).

KAROL. Uf! zmęczyłem się, chociaż nadspodziewanie trafiłem na prawdziwą kopalnię złota.

MICHAŁEK. Nijakiego ta złota nie było, ino w śmieciach grzebałiśmy jak krety.

KAROL (*wzruszając ramionami, mówi do siostr*). On nie rozumie znaczenia słów moich, to jest, że kość ta ma wartość złota; co mówię złota! brylantów, gdyż jest to zabytek przedpotopowy, a co ważniejsze, widnieją na niej wyraźne ślady pierwotnego rysunku. Jakiś człowiek skalny próbował kreślić tutaj wzory nieudolnym ryłcem (*pokazuje kość*).

MICHAŁEK. Żaden ta skalny, bo tu nijakiego niema, jeno pewnikiem chłopak kucharczyny wywłócił gnata i skrobał kozikiem, a paniczowi se tam coś innego zdaje.

WAŃDZIA (*cicho do Michałka*). Prawdę mówisz, paniczowi się coś zdaje.

(d. n.)

NIEDZWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Phii, i to mi się nie zdaje, może już lepiej Zygmunt młody — rzekł Maciejowski, biskup krakowski.

— I to mi się nie widzi — trzeba by zaraz panującemu nam najmiłościwiej dodać „stary,” a toć starość nikomu radości nie przynosi, żeby mu o niej codzień powtarzać — mówił, kręcąc głową Karnkowski, biskup przemyski.

I tak każdy, jako mu się zdawało, wyszukiwał drugiego imienia dla Zygmunтового syna, którego dotąd pospolicie na dworze Zygmusiem nazywano.

— Zygmunt urodził się w miesiącu sierpniu i jakoż 12 augusta dziesięć lat skończy, dajmy mu więc drugie imię August — rzekł milczący dotąd prymas, Jan Łaski.

— Bene, bene, będzie więc Zygmunt August — przytórżono jednogłośnie.

— I tem imieniem powitamy go, jako nowego króla — dodał prymas.

I zaczęto radzić o innych sprawach.

A kiedy tak radzono, na zamku lud cały i przybyłe na uroczystość dzieci, oczekiwały niecierpliwie dnia koronacyi.

Nadszedł nareszcie dzień dwudziestego lutego 1530 r., na który uroczystość była naznaczona.

Był to dzień niedzielny i jeszcze słońko z za chmur zimowych wyjść nie myślało, już na ulicach Krakowa ludzi było jak nabił, a przez liczne ciągnące się ku katedrze i zamkowi tłumy trudno się było przecisnąć. Jakkolwiek wiadano, że tylko pewna liczba osób, będzie mogła wejść podczas uroczystości koronacyjnej, tłoczono się jednak, a każdy sobie myślał:

— Może mi się jakoś uda wejść do katedry.

Inni zaś mieli mniej wygórowane żądania, mówili więc tylko:

— Zobaczą tych, co byli na koronacyi, to mi powiedzą, jak to tam było z tym małym królem.

I zalegano nietylko całe wzgórze, nad którem wznosi się katedra i zamek, lecz wszystkie ulice przyległe i zaułki. Kiedy zaś słońko z za mgły poczęło leniwie wychylać swoje złociste oblicze, a rozkołysane dzwony poważnym dźwiękiem ogłaszały zebrany, iż wkrótce uroczystość się rozpocznie, tłumy jedną falą popłynęły ku wzgórz. I wkrótce taki się zrobił ścis, iż pacholcy miejscy musieli użyć całej swej władzy, ażeby ciekawość nie doprowadziła kogo do kalectwa lub uduszenia.

Śmielsi powchodzili nawet na dachy a chociaż nic nie widzieli, z wytrwałością godną lepszej sprawy nie opuszczali jednak swego stanowiska.

I rzeczywiście, jakkolwiek koronacya była obrzędem bardzo ciekawym, próżne jednak były wszelkie usiłowania dla zaspokojenia tej ciekawości, i ci co nie byli wewnątrz kościoła, nie mogli nic widzieć.

A w kościele panów przedniejszych i mieszczan sławnych jak nabił, tylko środek wielkiej nawy wolny pozostał.

I oto uderzyły dzwony, a przez wielkie drzwi wszedł

chorąży królewski z rozwiniętą chorągwią, którą zwykle podczas innych koronacyi niesiono zwiniętą na znak żałoby po zmarłym królu.

Za chorążym postępowali marszałkowie z podniesionemi laskami, które również jak przy innych koronacyach mieli ku ziemi spuszczone, aż do chwili wykonania przysięgi przez nowego monarchę.

Za nimi szła chorągiew królewska, na niej herb Jagiellonów, orzeł w koronie; za nią chorągwie wojskowe, połyskujące wśród liczego blasku świec jaskrawemi barwami i wyszytymi godły. Gdy już cały ten orszak uszykował się po obu stronach wzdłuż nawy kościelnej, zostawiając wolne przejście po środku, wprowadzono królewicza.

Szedł on, wlokąc za sobą płaszcz błękitny, sobolowem futrem bramowany, z jednej strony prowadził go ojciec, z drugiej Samuel Maciejowski, biskup krakowski, kanclerz wielki koronny.

Dzwony głośniejsze jeszcze bić zaczęły, siedzący zaś w stallach zaproszeni na ten obrządek goście, z miejsc swych powstali. A goście tych moc była wielka, oprócz bowiem wojewodów i kasztelanów ze wszystkich ziem korony i Litwy, oraz liczego zastępu biskupów, przybył także Albrecht, książę pruski, który roku 1525 złożył hołd Zygmunutowi I-mu, oraz brat jego arcybiskup ryski, a także posłowie Torunia i Gdańska.

Gdy królewicz doszedł przed wielki ołtarz, gdzie na mniejsze leżała już korona, umyślnie dla młodzieńczego króla zrobiona, oraz miecz i berło, arcybiskup Jan Łaski pokropił kłęczącego Zygmunta wodą święconą, a potem odmówił nad nim modlitwę, wzywając Ducha świętego, ażeby młodemu królowi dał łaskę poznania i zamiłowania swoich obowiązków, oraz spełniania onych dla pomnożenia chwały Bożej i szczęścia całego narodu. Poczem Prymas odprawił Mszę świętą, podczas której stary król siedział w stallach na zwykłym swem miejscu obok królowej, królewicz zaś kłęczał na stopniach ołtarza.

Po skończonej mszy świętej, królewicz powstał, położył rękę na Ewangelię, i głośno za prymasem powtarzał następujące wyrazy:

„Z woli ojca mego, a najjaśniejszego króla, Zygmunta I-go, oraz na żądanie sejmu i za zgodą panów radnych, przyjmuję dziś koronę i wyznaję przed Bogiem, a też przysięgam na rany Zbawiciela świata i na świętą Ewangelię, iż sprawiedliwość i pokój powierzonemu sobie narodowi czynić będę, jako mi to sumienie i wierna rada, najlepiej ukaże. Obiecuję również strzedz praw kościoła, a stanom rzeczypospolitej uczciwość oddawać. A tak mi Panie Boże dopomóż i wszyscy święci, Amen *).

— Amen! — powtórzył król stary, oraz wszyscy w kościele przytomni.

Gdy przebrzmiało wyrzucone ze wszystkich piersi Amen, młody Zygmunt padł krzyżem na rozesłanym przed wielkim ołtarzem szkarłatnym suknie, a prymas i biskupi kłęcząc okolo niego, odmawiali modlitwy, które jednak bardzo skrócono z powodu dziecięcych lat koronowanego, a przeto i mniejszej wytrwałości. Następnie prymas zasiadł przed wielkim ołtarzem, a królewicz przed nim uklęknął.

Wtedy zrzuciono z niego ów płaszcz błękitny, pod którym była tylko szeroka biała, wełniana, o bardzo szerokich rękawach szafa. Lecz i z tej obnażono mu plecy i prawą rękę, którą biskup Maciejowski namaścił olejem świętym, aż po ramię, jako też kark, plecy i czoło. Podczas namaszczenia prymas i całe duchowieństwo odmawiało stosowne modlitwy. Po tych modłach odprowadzono namaszczonego do kaplicy, skąd powrócił znów przed wielki ołtarz odziany w sandały, humerał **) manipularz, stulę i kape. Wtedy przypasano mu miecz, a prymas rzekł:

*) Przysięga jako też cały opis obrządku koronacyi wzięty ze Starożytności polskich J. Moraczewskiego.

**) Chusta płócienna czworogranna, którą księża kładą pod komżę na plecy, a którą jako i całe ubranie, używane przy Mszy świętej, przywdziewali królowie podczas koronacyi.

— Dobywaj go tylko ku obronie wiary świętej, państwa i narodu.

Zygmunt zrobił mieczem krzyż w powietrzu i do pochwy schował.

A chociaż miecz był niewielki i dopasowany do jego wzrostu, dziecięca jednak ręka namaszczonego drżała, i z trudnością uciąć go mogła.

Ruch ten odrazu spostrzeżono i zaraz powstało pewne niezadowolenie wśród zebranych senatorów i panów, a na ustach księcia pruskiego zagrał uśmiech złowrogi.

Wkrótce jednak na co innego zwrócono uwagę. Król-dziecię poraz pierwszy przystępował do stołu Pańskiego, przyjmował komunię świętą.

Była to chwila nader ważna tak dla chrześcijanina-katolika jako i dla króla.

Z dziecięcia stawał się człowiekiem, odpowiadał za siebie i swoje czyny.

Po odbyciu w przeddzień spowiedzi, myśli poważniejsze i mniej dziecinne zajmowały jego głowę, obecnie był bardzo przejęty ważnością aktu, zdawało się, iż rzeczywiście jakiś przełom robi się w całej jego istocie moralnej, a głęboka wiara, którą odznaczał się cały naród, zapuszczał swe światło do głębi w serce młodocianego króla.

Nawet Bona, była nader przejęta ważnością aktu i pierwszy raz na chwilę porzuciła myśli o pozyskaniu dla siebie władzy i zrobienia syna narządziem swoich zamysłów. Twarz jej nabrała łagodnego wyrazu, a zwykłą złośliwość i chytryść, zastąpiło uczucie macierzyńskie i prawdziwe rozczulenie. Co zaś do starego króla, ten nie wstydził się łez, które spływały po jego sędziwym, pełnym szlachetności obliczu. Padł na kolana i bijąc się w piersi, z całą skrucą powtarzał:

— Mea culpa!

— Mea culpa! — powtórzyły wszystkie usta przytomnych.

A wyrazy te były tak rzewne i tak przejęte prawdziwą skrucą, iż napełniły jednym odgłosem całą świątynię, przebijając sklepienia i płynąc ze szczera wiara i żalem ku Temu, który serca ludzkie rozmięka. I teraz Ten Najwyższy znając najskrytsze myśli i uczucia, przyjął więc chyba w ofierze tę skrucę całego narodu, którą w tej chwili z dziecięcą ufnością u stóp Jego składano.

Słońce złociste, jakby do wtóru rzuciło jasne promienie na głowę klęczącego u stóp ołtarza, młodzieńczego Zygmunta, a łamiąc się tysiącami blaski, było jakby owem światłem Bożem, o które w tej chwili błagano.

Po wielkim wybuchu głośniejszej modlitwy, była chwila tak uroczystej ciszy, iż zdawało się, że można policzyć uderzenie serc ludzkich zgodnym w tej chwili bijące tętnem.

Nie przerywali tej ciszy nawet kapłani szeptem odmawianych modlitw.

Nagle, milczące przez czas jakiś dzwony, zagrały. Lecz nie był to chór dzwonów, który brzmiał przy wejściu młodego króla do kościoła, ale jeden dźwięk donośny, poważny, którym ogłaszano chwilę koronacji. To „Zygmunt”, dzwon

wielki, zawieszony r. 1520 przez ojca, ogłaszał teraz koronację syna. Dźwięk ten ocknął zatopionych w modlitwie.

Jeden z duchownych podał młodemu królowi puhar wina. Zygmunt jakby ze snu zbudzony, zwrócił ku podającemu pytające oblicze.

(d. c. n.)

Z E Ś W I A T A.

Krzewicielka oświaty.

Niedawno rozstała się z tym światem skromna i zacna niewiasta, która jednak wielkie położyła zasługi—Małgorzata Raciborska. Przed pięćdziesięciu laty Małgorzata nastąpiła jako nianka do państwa B. nad rzeką Nidą. Była to wówczas zupełnie prosta wiejska dziewczyna, nie umiejąca ani czytać ani pisać. Pewnego razu, Małgosia, często przysłuchująca się ciekawie lekcjom dwunastoletniej panienki z nauczycielką, zaczęła prosić panienkę, aby ją nauczyła czytać. Po roku umiała już czytać i pisać wybornie. Wówczas ludzie byli daleko mniej oświeceni niż są dziś, nie dziw więc, że uczoność Małgosi stała się podziwem dla całej wsi. To też ludzie zaczęli się do niej garnąć po naukę, której ta zacna kobieta nietylko, że najchętniej udzielała, ale sama zawzięcie napędzała do książki naokół wszystkich. Wciąż służąc w tym samym dworze, przez cały rok, a szczególnie w zimowe wieczory, ś. p. Raciborska wszystkie młode dziewczyny, a nawet i parobków, uczyła czytać i pisać, a tak gorliwie nakłaniała nawet niechętnych do nauki, tak umiała przemówić i przedstawić, jakie to szczęście jest modlić się na książkę w kościele, że nawet największego leniucha potrafiła przekonać.

Kiedy nieraz zwracano jej uwagę, że z niektórymi, jak ona nazywała, „głębami“ męczy się nad siły, zamiast wcześniej pójść na spoczynek, zawsze odpowiadała: Trudno, tak już sobie ślubowałam, aby spełniać uczynek miłosierny co do duszy: „nieumiejętnych nauczać.“ — W miarę posuwania się w lata, ta gorliwość „nauczania nieumiejętnych” stawała się coraz żarliwszą. Szlachetna kobieta większą część swoich zasług obracała na kupno elementarzy i książek, któremi nagradzała umiejących dzięki jej czytać. Gdy już cała służba umiała czytać, Raciborska uczyła we wsi nietylko dzieci i młodzież, ale nawet starsze kobiety i chłopów. Kiedy już nie miała kogo uczyć, bo wszystkich nauczyła, przeniosła się na służbę do innego dworu, by tam znów światło nauki szerzyć. Przytem ściśle zapisywała sobie wszystkich tych, których czytać nauczyła. Pozostały, jako cenna pamiątka po tej niezwykłej kobiecie dwa spore zeszyty, zapisane nazwiskami tych, którzy ś. p. Małgorzacie zawdzięczają umiejętność czytania. Takich zapisanych nazwisk jest tam aż czterysta dziewięćdziesiąt sześć, jako bogaty owoc jej pracowitego żywota.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Zwrotki Wielkanocne, wiersz przez Sewerynę Duchyńską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Dzielnny chłopiec przez Zofię Kowerską. Urna i łzawnica, komedyjka w jednym akcie. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Ze świata. — Dodatek: U cioci Polci (z ryc.) — Lekcje Jasia (monolog) przez Irenę Mrozowicką. — Prawdziwa historia przez J. W. — Kamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 31 Марта 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego Warecka Nr. 15.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Czegożbyście teraz chcieli, dzieci? — spytała ciocia.
 — Jabym chciała coś dla mojej lalki — rzekła Irenka.

— Czy sanki podobałyby się waszej miłości?
 — Podobałyby się — rzekła z powagą maleńka.
 — To nietrudno zrobić. Weźmy bilet wizytowy, złożmy go na dwoje i wyrysujmy na nim formę sanek (fig. 24). Zetnijmy brze-
 gi *a* i rozłożmy bilet (fig. 25). Teraz trzeba wyciąć



fig. 24.

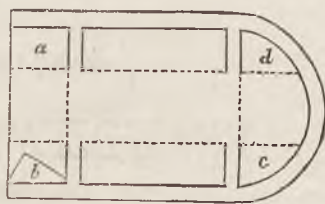


fig. 25.

wewnętrzny brzeg, ale uważnie, żeby nie przeciąć czterech nóżek, a potem pozakładać wzdłuż kropkowanych linijek i zręcznie pozszywać kilkoma ściegami.

Maleńka była zachwycona i oznajmiła, że każda lalka byłaby dumną z takich sanek.

— Czy można jeszcze zrobić jakie inne papierowe zabawki? — spytała Zosia.

— Ej, chyba już cioci zabrakło pomysłów — rzekł Kazio.

— Możemy jeszcze zrobić zamykane pudełeczko. Weźcie kwadratowy kawałek papieru listowego. Złóżcie go najpierw na ukos raz i drugi, ażeby znaleźć środek, któ-



fig. 27.

ry nazwiemy *a*, dwa rogi zaś *b* i *e* (fig. 27). Załóżcie cztery rogi do środka i rozłóżcie potem, a otrzymacie cztery nowe linie. Linia między *e* i *a* niech się nazywa *c*; gdy umieścimy róg *e* na punkcie *c* otrzymamy nową linię *f* a gdy powtórzmy to z innymi rogami, ujrzymy nasz kwadrat podzielony na mniejsze kwadraciki (fig. 27). Teraz trzeba wyciąć wszystkie te kąciki, które naznaczyłam

krzyżykami. Zrobi się z tego figura mająca kwadrat w środku i cztery końce, trójkątnie zakończone jakby stogi siana (fig. 28). Nazwijmy te końce *b c d e*, a cztery rogi kwadratu *a*. Chcąc założyć te różki trzeba je pona-

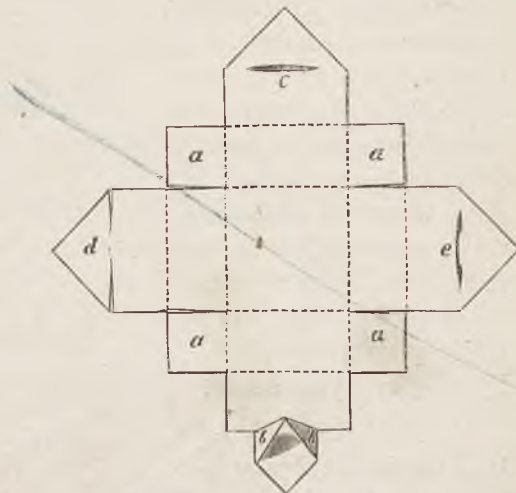


fig. 28.

ciąć (fig. 28), figura przybiera wtedy formę krzyża. W dwóch końcach *c* i *e* trzeba porobić nacięcia, a dwa inne poprzecinać z brzegu tak, aby można było pozaginać je i wsunąć w tamte szpary. Wsuniecie koniec *b* w otwór *c* i wyprostujecie potem różki, tak samo koniec *d* w szparę *e* i pudełko zamknięte (fig. 29).

— Czy to wszystko? — spytały dzieci.

Ciocia zawahała się.

— Nie jesteśmy wcale zmęczeni — zapewniał Henryś — i obiad jeszcze pewnie nie gotowy.

— No, to zrobimy jeszcze domek dla lalki Irenki. Weźcie sztywną



fig. 29.

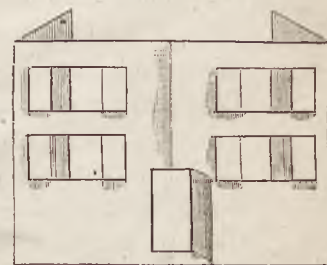


fig. 30.

kartę papieru, złożcie ją we czworo, dobrze zagnijcie na składach i wyprostujecie potem. Środkowe dwie połowy utworzą front domu, a boczne, jego dwa boki (fig. 30). W środku na dole trzeba wyciąć drzwi ale tylko z trzech stron, żeby się mogły zamykać. Można ołówkiem narysować na nich kłamkę. Trochę wyżej wytniemy okna z podwójnymi okiennicami, żeby je można zamknąć na noc.

Dzieci były zachwycone domkiem, a że już było późno więc ciocia zawyrokowała, że dosyć pracy na dzisiaj, i że muszą wszyscy odpocząć.

Lekcyje Jasia.

(MONOLOG).

(Jas wchodzi z książkami w ręku i klania się publiczności).

Dobry wieczór, moi państwo!
 Żebyście też wy wiedzieli,
 Jaki człowiek spracowany
 Mimo święta i niedzieli!
 Wiecznie tylko książki, lekcyje
 I zadania — to mi życie!
 Brr! zaręczam, że bez lekcyi
 Obszedłbym się znakomicie.
 Bo ciekawym, na co komu
 Taka greka lub łacina?
 Albo jeszcze ta wiadomość
 Gdzie tam wpada jakaś Dźwina?!
 A niech sobie każda rzeka,
 Gdzie chce sama, wpada, leci...
 Ej, to wszystko wymyślone,
 By udreńczyć tylko dzieci!

(po chwili).

Ot, i dzisiaj: czyż ja mogę
 Ten tom cały wtłoczyć w głowę?

(pokazuje książkę)

(zastanawiawszy się).

No! nie wszystko mam zadane —

Ale zawsze choć z połowę...

(ciszej).

Trochę mniejszą... W każdym razie

Nie dam sobie dziś z tem rady,

Takie nudne to niemieckie!

Wciąż deklinuj te przykłady:

„Das Milch”, die Buch”...

(namyśla się).

Oj, podobno... to przeciwne są rodzaje?...

(machając ręką).

Wszystko jedno! — człowiekowi

I pamięci już nie staje.

(chwilę milczy, chodząc po pokoju).

Ot, historia! to pół biedy —

Z nią mi idzie jako tako,

Choć się czasem w głowie miesza

Sparta z Troją lub Itaką,

Ale za to strasznie lubię

Ulissesa i Hektora!

O nich czytałbym bez końca

Nawet, gdy już spać iść pora.

I tak nieraz z tej przyczyny,

Myszę, że na bohatera

Byłbym dobry — bo na czyny

Wielkie, zawsze chęć mnie zbiera.

Cheiałbym oto na świat cały,

Wraz dokonać coś sławnego,

Coś, co godne będzie chwały

Po wiek wieków pamiętnego...

Cóż, gdy czasy już minęły
 Świątecznych zwycięstw dla rycerzy,
 Już minęły i zginęły
 Chrząst oręża i pancerzy!...

(namyśla się).

A gdyby tak jeszcze przecie
 Było mi to szczęście dane,
 Bym jak Kolumb odkrył w świecie
 Jakieś lądy dziś nieznanne...
 Gdybym statkiem lub balonem
 Krańce ziemi naszej poznał,
 Choćbym to opłacił zgonem
 Jednak szczęścia jużbym doznał...

Ale teraz czem wykażę

Moje wzniosłe dziś marzenia,

Jakim czynem świat obdarzę

Czemże spełnię me pragnienia?...

Irena Mrozowicka.

Jadwiga Warnkówna

PRAWDZIWA HISTORIA.

(Dokończenie).

— Mamusia nie będzie wiedziała, niania nie spostrzeze. Wrócimy zaraz. Nie pójdziemy przez mostek tylko tam przez kładkę, po desce bliżej. Nikt nie spostrzeze. Zobaczymy, czy są zodkiewki i wrócimy zaraz. Moze w inspektach jest Kotulski, to nam da po kilka zodkiewek.

I mała sroczka szczebiocąc dalej, wzięła za rękę starszą siostrę i pociągnęła ją w głąb ogrodu.

Cicha Jadwisia ulegała prawie zawsze rezolucyj Zosi, niestety, nietylko w dobrem, ale i w złem. Dała się więc namówić, do czego skłoniła ją jeszcze nadzieja uzyskania od Kotulskiego kilka rzodkiewek, które lubiła niezmienne.

Trzymając się za ręce, pobiegły dziewczynki ku kładce.

II.

W Władysławowie, wiosce państwa Wardęskich, ładny i obszerny był ogród a bardzo starannie utrzymany. Po prawej stronie ogrodu ciągnęło się pole, a dalej zieleń las, z lewej strony był duży dziedziniec ze stawem pośrodku. Do tego stawu prowadził przez środek ogrodu rów, obsadzony po obu stronach bzm tureckim, a rozdzielający ogród kwiatowy od warzywnego. W alei kasztanowej, wprost dworu, rzucony był przez rów śliczny, biało malowany mostek z poręczami, lecz dziewczynki nie zwróciły się w tę stronę, pobiegły na prawo, gdzie tuż przy płocie była wąska kładka, przez którą zwykle przechodzili robotnicy, pracujący w ogrodzie. Rów w lecie był prawie zawsze suchy, lecz w początkach wiosny, gdy stały obfite śniegi, na dnie rowu było grzęzkie błoto, a po wierzchu błota płynęła woda, uchodząca do stawu na podwórzu.

Gdy dziewczynki przyszły do kładki, Jadwisia rzekła:

— Patrz, tyle wody w rowie. Ja się boję, pójdźmy lepiej przez mostek.

— Na mostku nas ze dworu zobaczą. Nie bój się, zamknij oczy, daj mi rękę, ja cię pseprowadzę — odpowiedziała Zosia.

Jadwisia usłuchała siostry, chwyciła ją mocno za rękę i z drzeniem wstąpiła na deskę.

Posuwały się zwolna, po maleńku, po maleńku. Jadwisia coraz więcej drżała.

— Nie bój się — mówiła Zosia — jesteśmy już na środku.

Lecz w tej chwili deska się zachwiała, Zosia się złąkla, spojrziała na dół, a zobaczywszy rów głęboki z wodą na dnie, krzyknęła przeraźliwie, straciła równowagę i spadła z kładki, pociągnąwszy za sobą siostrę... Szczęściem, że woda nie była głęboka, i że Jadwisia była roztropną, przytomną dziewczynką.

Zerwała się na nogi, a choć grzęzła w błocie, podniosła co żywo Zosię, krzyczącą w niebogłosy.

— Cicho, cicho, nie płacz — mówiła Jadwisia, tuląc siostrę. Nie utopimy się, wyjdziemy z rowu, chwytaj się krzaków.

I wydobywszy się z trudnością z błota, po śliskiej, mokrej ziemi, zaczęła się drapać w górę, chwytając gałązek bzu.

Lecz ile razy była już prawie na brzegu rowu, tyle razy Zosia, nie mając dosyć siły do drapania się sama w górę, chwyciła Jadwisię za sukienkę i wciągała ją własnym ciężarem napowrót do wody. Jadwisia zmęczona, drżąca z zimna, zaprzestała nareszcie próżnych wysiłków i głośnym płaczem zawtórowała młodszej siostrzyczce, która jęczała boleśnie i z bladej stała się zielono-siną.

— Już my tu się zatopimy! Mamo! mamó! niani! Kotulski! ratujcie! — wołały biedne dzieci.

Lecz i mama i Michałowa i Kotulski byli daleko. Nikt nie słyszał płaczu i jęku dziewczynek, tak srodze ukaranych za nieposłuszeństwo...

— Tak mi zimno, tak mi zimno! o jej, jej! — płakała Zosia.

— Czemuśmy mamy nie słuchały! O Boże, Boże! — jęczała Jadwisia.

— Uu, uu, uu! — krzyczały żałośnie obie.

Około kładki w parkanie była furtka na drogę, prowadzącą w pole.

Pan Wardęski wracał z pod lasu, gdzie dnia tego siano groch.

Spodziewając się, że ksiądz niezadługo przyjedzie święcić, ojciec dziewczynek dla skrócenia drogi postanowił wrócić przez ogród, aby prędzej być w domu. Jeszcze za parkanem usłyszał płacz w rowie. Jakże się zdziwił i przestraszył, gdy, stanąwszy przy kładce, spostrzegł w rowie swoje córeczki.

— Na Boga! dzieci! — zawołał z trwogą i rozpaczą, wskakując w rów.

Dziewczynki, zobaczywszy ojca, ze strachu i radości nie mogły mówić, tylko płakały jeszcze głośniej. Pan Wardęski w mgnieniu oka wyniósł obie z rowu, wziął na ręce i szybkim krokiem podążył do domu, a woda i błoto lały się na niego z odzieży dzieci.

Co się działo we dworze, gdy zobaczono dziewczynki, tego nikt opisać nie zdoła.

Pani Wardęska ustawiła właśnie święcone, a obok dużego stołu przygotowała maleńki, osobny stolik dla dziewczynek (była to owa zapowiedziana niespodzianka), gdy wtem zobaczyła przez okno męża z dziećmi. Jakże się strasznie złąkla na ten widok! Jak krzyknęła boleśnie!

Wybiegła przed dom prawie nieprzytomna. Myślała, że już jej obie córeczki nie żyją, bo ze wstydu, strachu i zimna pochyliły główki na ramiona ojca.

O! jakże była szczęśliwa, gdy się dowiedziała, że żyją.

Michałowa z radości składała też ręce do Boga, a wszyscy w domu zapomnieli o święconem i każdy radował się, coby dać dzieciom, aby je uchronić od choroby.

Pospiesznie zdjęto z dziewczynek mokre, obłocone rzeczy, wykąpano, położono do łóżka i dano gorącej herbaty. Zasnęły też niebawem.

Po kilku godzinach Jadwisia obudziła się i czuła się zupełnie zdrową, ale biedna Zosia dostała gorączki i odchorowała strasznie wyprawę na rzodkiewki.

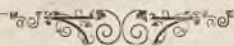
Obawiano się długo o jej życie.

Nie widziała wcale rzodkiewek, które nazajutrz przyniósł Kotulski do śniadania, nie widziała nawet stolika z własnem święconem.

Oj, smutne, bardzo smutne były święta w władysławowskim dworze! Państwo Wardęscy siedzieli dzień i noc przy łóżeczku Zosi; pocziwiej Michałowej od wielkiego płaczu oczy popuchły, a wszyscy inni domownicy chodzili cicho na palcach, mówili półgłosem, jedli nawet bez ochoty, dzielając ciężkie zmartwienie państwa i żałując biednej Zosi.

Wróble tylko na kasztanach krzyczały równie głośno jak przedtem, a Jadwisi się zdawało, że one świegocą bez końca: „Dzieci, dzieci, słuchajcie zawsze starszych!” I biedna dziewczynka, bawiąc się sama w ogrodzie, wzdychała często, a łzy wielkie i gęste spływały z modrych ocząt. W wielkim swoim smutku zapomniwała nawet o ukochanych lalkach i ulubionych piosenkach.

Zaspiewała sobie znowu dopiero wtedy, kiedy Zosia bledziutka i słaba jeszcze, pierwszy raz podniosła się z łóżeczka.



HOMONIM.

W trzech głoskach mieszczą dwa znaczenia,
Dziwnie się postać moja zmienia,
Raz płynę chyżo i wspaniale,
Do morza niosę bystre fale,
Po drodze mijam ludne grody,
I różne widzę tam narody.
Albo mam znowu cztery nogi,
Obrosłą skórę, piękne rogi,
Gorących krajów też nie lubię,
Z pod śniegu drobny porost skubię.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

od Niezabudki dla kochanych rodziców.

Kt. cz. n. d. brz. l. m. s. l.
Bl. ż. m. sw. m. z. s. r. c. m. l. ś.
T. n. s. . . w. n. k. . pl. c. . . m. l.
Wsp. m. n. . . w. d. z. . cz. n. j. l. d. z. k. . ś.

ARYTMOGRYF.

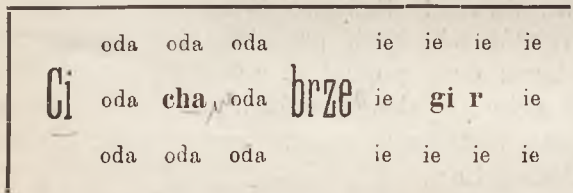
Szczęśna dla Jaskółki.

- 1) 11, 5, 7, 8, 13, 20, 7, 13, 16. Przyrząd powiększający.
- 2) 5, 7, 2, 3. Dopływ rzeki Bohu.
- 3) 4, 1, 18, 6, 13, 12. Wyspa na oceanie Indyjskim.
- 4) 7, 3, 8, 3, 17. Waga drogich kamieni.
- 5) 5, 15, 3, 9, 1, 6, 6, 3. Wyspa z arch. Salomona.
- 6) 1, 21, 2, 3, 8, 21. Imię męskie.
- 7) 2, 3, 6, 7, 5, 8, 14, 1. Boginie germańskie.
- 8) 5, 10, 6, 3, 12. Miasto w Morawii.
- 9) 4, 14, 8, 19, 20. Król Persów.
- 10) 15, 3, 8, 3, 15. Przysłówek czasu

Zastąpić liczby literami, aby początkowe utworzyły nazwisko poety, a końcowe tytuł jego utworu.

REBUSIK.

przez Puszczyka z Pilawy.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 14.

Szarady: Ogień.

Logogryfu:

- 1) Panama. 2) Rinaldini. 3) Indyje. 4) Mekka. 5) Admirał.
- 6) Aglae. 7) Pegaz. 8) Róża. 9) Ispahan. 10) Lima. 11) Islandya.
- 12) Sokrates.

Prima aprilis.

Łamigłównki geograficznej:

O	D	N	K	D	P	L	E	L
P	a	o	u	a	i	g	o	
A	n	t	w	e	r	p	i	a
W	i	e	a	r	m	s	p	r
A	a	é	l	o	a	k	t	a

Kwadratu:

D	o	n
o	n	a
n	a	s

Skrzynka do listów.

Krakowiance. Przegląd Pedagogiczny pomieszcza w dodatku książkowym: *Wykłady naukowe dla samouków*, które i oddzielnie nabywać można. Radzimy przeto porozumieć się z redakcją tego pisma, mieszczącą się przy ulicy Hortensya Nr. 2. Co do innych podręczników, najwłaściwszymi będą następujące: Baranieckiego: Krótka arytmetyka część I i II dla wyżej posuniętych. Algebra początkowa Todhunter, tłum. Kwietniewskiego. Geometria Faifofera tłum. Kwietniewskiego. Chemia, Znatowicza. Zoologia Nusbauma, albo Wrześniowskiego. Historia powszechna Korzona albo Zakrzewskiego. Gramatyka Kryńskiego. Historia literatury Gostomskiego albo Spasowicza. Styl wyrabia się ćwiczeniami piśmiennymi, oraz czytaniem dzieł znakomych pisarzy. Nie wystarczy to jednak jeszcze żeby zostać autorką, bo do tego trzeba wrodzonego talentu. Silną wolę wyrobić można przez czynienie dobrych postanowień i usiłowanie wytrwania w nich. *Cremotartari* jest to winian potażu, powstający przy fabrykacji wina, w formie osiadającego na dnie osadu.

Za ciekawe listy dziękujemy Aleksandrowi W., czytaliśmy je z równym zajęciem jak i poprzednie, i zdaje nam się teraz, że jesteśmy już starzy znajomi, żałujemy tylko, że przejeżdżając przez Warszawę nie wstąpił do Redakcyi, byłibyśmy szczerze radzi z poznania osobiście tak miłego korespondenta. Szaradę przejrzymy i życzymy by jak najweselej spędził czas pobytu w rodzinnych stronach.

Klimci G. Żądane dodatki posłano, nie należy nam się za nie żadna dopłata. Też samą odpowiedź przesyłamy Mieczysławowi B. na uprzejmy jego liścik

Książeczek zawierających powinszowania wierszowane jest kilka, chętnie ci jedną z nich Maniusiu C. wysłać możemy. W książce Hofmanowej *Jan z Czarnolasu* jest cały rozdział poświęcony opisowi ubiorów ówczesnych, może to wam posłuży i poda jaki dobry pomysł.

Józiovi i Elżuni B. Pierwszą część zabawek z papieru *Cioci Polci* z roku zeszłego dostać można za przesyłką 30 kop.

Helence L. i jej braciszki w imieniu biednych dzieci ze Szpitalika dziękujemy za przysłane kajety z obrazkami.

Dobre rozwiązania przysłali: **Orzeł**, **Gwiazdeczka z Zagórzan**, **Mania B.** i **Jaś W.**

Żałuję cię bardzo biedna **Turkawko**, że tak przykra okoliczność, jak choroba, wstrzymała cię w dobrym zamiarze napisania do mnie. Ale dzięki Bogu, że powróciłaś już do zdrowia, i że nie będziesz miała nadal przeszkód, by się czasami odezwać do mnie. Pismo twoje ładne, czyste i czytelne; jako jedenastoletnia panienka, możesz przysłać próbę swego pisania na konkurs, nie ubiegając się jednak o nagrodę.

Pszeniczce sandomierskiej wdzięczną jestem za serdeczne wyrazy. Składka na cel o jaki zapytujesz, zbieraną nie będzie. Szkoda, że nie przysłałaś swojej łamigłównki, lepiej od siebie moglibyśmy osądzić o jej wartości.

Zaginiony numer posłać ci możemy **Stokrotko Matwiejkowska**, szczególnie, gdy prosisz tak uprzejmie. Dlaczego przecież od tak dawna nie odzywałaś się, nie donosiłaś jak ci idą nauki i co porabiasz? Ja lepszą byłam i starałam się dowiedzieć, co słyhać u ciebie. Niestety, nie bardzo pocieszające doszły mnie wieści i zasmuciły bardzo, bo podobno i lekcye pozostawiają wiele do życzenia i uporek otaczającym daje się we znaki, a za wyrządzoną komuś przykrość, nawet przeprosić nie chcesz. Czy to być może, wierzyć temu nie chcę i mam nadzieję, że mi wkrótce doniesiesz albo o zaszej pomyłce, albo też o poprawie. Każdy zawinić może, lecz powinien wszelkich sił dokładać do pracy nad sobą i do poprawy. Na listy towarzyski twojej Antosi z chęcią odpisywać będę. Ale przedewszystkiem oczekuję teraz odpowiedzi, któraby mnie pocieszyła, a nie wątpię, że ją wkrótce otrzymam, bo serduszek nasz dobre i nie zechcesz zasmucać życliwej ci.

Jaskółki.